

Noc. Uparcie wpatrywałem się w cienie tańczące zło wróżebnie na płótnie namiotu. Wiatr kołysał lampą zawieszoną pomiędzy drzewami. Leżąc na łóżku polowym widziałem dziwaczne figury, które tworzyły falujące gałęzi. Oczy mi się kleiły. Gdy je na chwile przymknąłem, zjawiały się kolorowe obrazy Sądu Ostatecznego i nagie tłumy grzeszników spadających w piekielne przepaście. Zasnęłam, ale szybko podrywałem się przerażony? Dużo mnie kosztowało aby nie usnąć i trzymać oczy otwarte. Odgonić koszmary.

Złowieszcze słowa na klasztornej tablicy, o tajemnicy dnia Sądu Ostatecznego przerażały mnie. Spojrzałem na zegarek. Z trudem dojrzałem, że zbliżała się północ.

Spokojne oddechy kolegów upewniły mnie, że wszyscy w naszym namiocie śpią. Odkryłem koc i wolno usiadłem na łóżku. Ubrałem koszulkę i krótkie harcerskie spodnie. Wymacałem po ciemku tenisówki.

Noc rozświetlały tajemniczo lampy, zawieszane prowizorycznie wśród leśnych drzew. Nadepnąłem na suchy patyk, który z trzaskiem złamał się. Serce podskoczyło mi do gardła.

Nieopodal był namiot druhów. Nie paliło się tam światło, choć druhowie lubili długo w noc gawędzić. Wyglądało, że teraz spali. Mógł się jednak któryś zbudzić i złapać mnie na nocnej wędrówce. Wtedy kolejna podpadka i nici z całej dzisiejszej wyprawy, którą tak starannie zaplanowaliśmy z Dzidkiem.

Dokonaliśmy koszmarne odkrycia o tajemniczej przepowiedni. Kolega nie był zbyt zainteresowany całą sprawą. Niemniej, jako mój serdeczny kumpel zgodził się towarzyszyć w tej nocnej wyprawie o godzinie duchów.

Wszedłem do namiotu kolegi. Spokój cichych oddechów upewniał mnie, że wszyscy pogrążeni są w głębokim śnie. Łóżko Dzidka było tuż przy wejściu. Poszarpałem go lekko za ramię. Zerwał się z przytłumionym okrzykiem.

– Co?! co?! – zerwał się jak nawiedzony koszmarem sennym.

– Tss... – przyłożyłem palec do ust.

– A!, to ty! Już się zbieram – odpowiedział zaspany.

Ostrożnie, na palcach, oddalaliśmy się od obozu. Po wyjściu z lasu zaświeciliśmy latarki. Spojrzałem na odrapane krzakami nogi. Dzidek rozdarli do krwi, skórę na tyłce. Zaśmialiśmy się idiotycznie.

– Masz pietra? – zapytał z ironią.

– Ty nie? Zobaczymy w miejscu – pokazałem głową w kierunku ciemnego wzgórza.

Majaczyły tam ruiny opuszczonego klasztoru.

Jego teren ogrodzony był starą siatką. Napis na bramie ostrzegał, żeby nie wchodzić. Ktoś dopisał: „bo straszy”. Nas ten zakaz nie powstrzymał. Któregoś dnia wymknęliśmy się z obozu. Przez dziurę w siatce weszliśmy na zarośnięty chwastami plac. Ukazały nam się zwaliska kamieni. Przeszukaliśmy zmurszałe ruiny. W resztkach pomieszczeń znaleźliśmy kawałki sprzętów, mebli i jakichś urządzeń. Gdzieś tam zachowały się większe fragmenty ścian, podparte spróchniałymi belkami.

Odkryliśmy wtedy zasypane wejście prowadzące gdzieś w dół. Zaciekawito nas to i postanowiliśmy się dostać do tajemniczego wnętrza. „Musi coś być w tych opowieściach o bogactwach w starych budowlach” – upewnialiśmy się wzajemnie. Nie było łatwo usuwać duże kamienie, zarośnięte mchem i trawą. Prace szły wolno, gdyż nie mogliśmy za długo być poza obozem. Musieliśmy więc kilka razy wymykać się by odgruzowywać te schody. Za którymś razem, gdy wracając „cichaczem” wśliznęliśmy się między namioty, druh przyłapał nas. Nie było wyjścia i przyznaliśmy się, że plądrowaliśmy w niebezpiecznych ruinach. Za karę, przez trzy dni z rzędu obieraliśmy ziemniaki. Odtąd mieli już na nas oko. Zawsze jakoś

udało nam się zmylić czujki i urwać się w ciągu dnia. Postanowiliśmy, że choćby nie wiem, co, to musimy dotrzeć do tajemniczego podziemia.

Aby nie pobrudzić ubrań pracowaliśmy w samych slipkach. Po kilku dniach zrobiliśmy wąskie przejście, pozwalające na wciśnięcie się w ciemną czeluść. Popatrzyliśmy na siebie zadowoleni.

– Kto wchodzi pierwszy? – zapytałem.

Dzidek wskazał na mnie. Zrobiłem niepewną minę, przeżegnałem się i wsadziłem głowę w ciasny przesmyk. Trzymając się ścian, robiłem małe kroczki do przodu. Kolega ruszył za mną. Drapiąc barki i ramiona o kamienne ściany, weszliśmy do mrocznego pomieszczenia. Światło wąskiego korytarza, który zrobiliśmy, z trudem rozbijało mrok. Nie mieliśmy latarek. Lekko dygotałem z zimna. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności zobaczyliśmy, że jesteśmy w pustej, niewielkiej celi. Byliśmy zawiedzeni. Tyle dni brudnej, ciężkiej roboty, narażania się druhom, nie mówiąc już o wielkich nadziejach na znalezienie skarbu.

Dzidek wzruszył ramionami i ruszył w stronę wyjścia. Ja wciąż rozglądałem się po, pełnym tajemniczej grozy, pomieszczeniu. Dostrzegłem tablicę. Cztery mosiężne ćwiki przytwierdzały ją do ściany.

– Zdzichu, choć no tu! – krzyknąłem podekscytowany.

– Co tam? – zapytał bez entuzjazmu.

– Sam zobacz!

Przykucnąłem przed tablicą. Starłem ręką kurz z wrytego na niej napisu.

– Czytaj! – powiedziałem, świecąc latarką. Dzidek przykucnął obok mnie.

– Kurka, co jest? – zapytał bez entuzjazmu.

– Dzień – odczytywałem z trudem.

– Zaraz – powiedział Dzidek. – Nie, no tak: Dzień. Sobota?

– Co ty? – zachnąłem się. – Sobota to sobota, a nie dzień sobota.

– No tak – przyznał. – I nie z dużej litery.

Drugie słowo było zmurszałe i nie bardzo dało się go odczytać.

– Pierwsza litera to duże S, no a dalej? Pięć liter. Dwie ostatnie to „n” i „d”.

Usiadłem na kamieniu. Czułem przez slipki, że jest wilgotny.

– Dzień, jaki?, czego? – głowił się Dzidek.

– Siódmy? – zapytałem niepewnie?

– To jest wyraźnie „n”! – zachnął się kolega. – Ostanía litera to jak bum cyk cyk: „y” – upierał się.

– S...ny. – Senny? – próbowałem niepewnie.

– Trzecia litera od końca to raczej „d”. No popatrz.

Przybliżyłem się do tablicy i dotknąłem napisu.

– Sadny? – zapytałem cicho. – Nie!, to będzie: sądny. Dzień Sądny – zawyrokowałem i spojrzałem z przejściem na Dzidka.

On zmarszczył czoło w niepewności. Skierowałem wzrok na tablicę. U dołu było wryte mniejszymi literami słowo: Tajemnica.

– Ale gwiazdki – powiedział cicho Dzidek.

– Tajemnica Sądneho Dnia!? – Tu w tych ruinach!? – zapytałem drżącym głosem.

Nie udało nam się i tym razem, domyc w zimnym strumieniu. Druhowie domyślili się rano, że znowu byliśmy w runach klasztornych. Zapowiedzieli, że mamy się odtąd meldować u nich co pół godziny. Trudno się było urwać w ciągu dnia. Jedynym wyjściem zbadania tajemnicy, kryjącej się w podziemi, był nocny wypad do zrujnowanego klasztoru. Jedyna szansa to

nocny wypad. Postanowiliśmy pójść tam dzisiaj. Nie za wcześnie, bo druhowie długo bałamucają po capstrzyku. Północ to najlepsza pora – tak się umówiliśmy.

Teraz stawialiśmy kroki ostrożnie, chociaż obóz zostawiliśmy kawałek za sobą.

- Boisz się, że zbudzisz duchy! – zażartował Dzidek.
- Nie śmieć się, bo jeszcze przyjdą – odpowiedziałem nerwowo.
- Ej, ty zuchu – kumpel klepnął mnie w głowę.

Znaleźliśmy naszą dziurę w starej siatce. Droga nocą do naszej celi była o wiele trudniejsza niż w ciągu dnia. Zaświeciliśmy latarkami w ciemny otwór. Nie chcąc pobrudzić koszulki i harcerek spodenek zdjąłem je. Zostałem w samych majteczkach. Dzidek też zdjął spodenki, ale było mu zimno i został w koszulce. Powoli zanurzaliśmy się w wilgotną, tajemniczą otchłań.

- A jak tu nas zastanie koniec świata? – zapytał, niby drwiąco, Dzidek.
- Nikt by się nie dowiedział gdzie jesteśmy – odpowiedziałem bez zastanowienia.
- Coś nam zatrzepotało nad głowami.

- Duchy! – krzyknął bezgłośnie Dzidek.
- Nie przywołuj! – powiedziałem nerwowo.

Światła laterek ślizgały się po omszałych, mokrych ścianach. Zatrzymały się na kamiennej tablicy. Była na swoim miejscu. Nikt tu po nas nie był i niczego nie ruszał. Długą chwilę nie ruszaliśmy się. Słyszeć było tylko nasze głębokie, podekscytowane oddechy.

- Nie ma co pękać! – powiedziałem bez przekonania.
- Wracajmy! – wyszeptał Dzidek. – Nic tu więcej nie zobaczymy.
- No co ty?!, z wody?!, – powiedziałem, dodając mu otuchy. I mnie potrzeba było pocieszenia. – Coś mi się wydaje, że tam niżej jeszcze jest coś napisane. Zobaczmy!

Podszedłem do tablicy i przykucnąłem przed nią. Poczułem zimno. Przycisnąłem ramiona do piersi by się nieco ogrzać.

- Patrz!, tutaj – pokazałem palcem na dół tablicy.
- Co tam widzisz Szerloku? – Zainteresował się kolega. Podszedł i przykucnął obok mnie.
- Patrz! – poświeciłem latarką na niewielkie rzymskie cyfry, wykute na samym dole tablicy.
- No widzę! I co? – zapytał obojętnie kumpel.
- Każda litera, każda cyfra musi mieć znaczenie – powiedziałem poważnie.
- Mów mi tak – oparł ironicznie.
- Patrz! – wodziłem światłem latarki po cyfrach. – I – to jeden, kreska i III – trzy, obok I i IV...

- Jeden i jeden, jeden i dwa. Co z tego wynika? – naigrywał się Dzidek.
- No właśnie! Co pisarz miał na myśli? A musiał coś mieć, bo, by nie walił młotkiem w kamień bez potrzeby – gadałem, żeby się nieco rozgrzać. Żałowałem, że zdjąłem koszulkę.
- Jak bum cyk, cyk. To szyfr tego całego końca świata – stwierdził z odcieniem zdumienia.
- Popatrzmy! – klęknąłem przed tablicą i palcami ścierałem kurz z małych cyfr. Wlepiłem w nie wzrok, wytrzeszczając oczy.

- Szyfruj! – rozkazał kumpel.
- Mądrała – zachnąłem się. – Sam szyfruj!
- Czeka, jedna kreska trzy. Z czym to się je?
- Z dżemem – starałem się dowcipkować.
- Strony świata? – Nie ma tu większej cyfry jak cztery. Może być.
- Fanzolisz – odrzekł Dzidek. – A może ci zabulgotał olej w głupiej łepetynie? Tylko, co w tych rogach?

Poświeciliśmy latarkami w najbliższy róg. Światło penetrowało każdy kamień, każdą szczelinę. Niczego nie dostrzegliśmy. Poświeciliśmy w drugi róg. Nic. Także nic specjalnego w pozostałych. Zrobiliśmy głupie miny. Zrezygnowany siadłem na wilgotnej ceglanej posadzce. Oparłem brodę na kolanach i wpatrywałem się smutno w brudną tablicę. Czytałem cicho każdą cyfrę od przodu i od tyłu.

– Mam! – wykrzyknąłem uradowany i poderwałem się z posadzki.

– Co jest? – zapytał wystraszony Dzidek. – Mów!

– To data końca świata. Od tyłu. Patrz: dwunastego listopada – mówiłem głosem odkrywcy – cztery tysiące sto trzydziesty pierwszy.

Powiedziałem to i zrobiła się cisza. Przerwał ją głośny śmiech Dzidka.

– Fajnie! Za dwa tysiące lat nas tu nie będzie. – Wstał i dodał – idziemy!

Zawiedziony ogromnie powoli stawałem na zdrętwiałych nogach. Poczułem mocniej zimno nocy i tej wilgotnej celi. Było mi łyso. Ani końca świata, ani skarbu, złotych pierścieni, brylantów, pereł. Wściekły uderzyłem latarką w mosiężny świek. Usłyszeliśmy w odpowiedzi oddalony, przygłuszony dźwięk. W bezruchu spojrzeliśmy na siebie. Potem na tablicę. Puknąłem ponownie w lewy górny świek. Nic. Puknąłem mocniej. Cisza.

– To był duch! Jak bum cyk cyk, duch! – zawyrokował Dzidek.

– Uderz ty! – poprosiłem.

– Pierdykam, ja spadam. Tu straszy – odpowiedział nerwowo kumpel. Byłem pewny, że robi sobie jaja. A może naprawdę duchy. Przecież mówił, że widział ducha na własne oczy jak poszedł nocą w krzaczki sikać.

Uderzyłem latarką bezwiednie w lewy dolny świek. Odpowiedziało głuchawe „Bam”! – Co jest? – zapytałem podekscytowany.

– Czekaj zuchu...

– Tylko nie zuchu!, dobra – przerwałem mu gniewnie.

– ...dźwięczną pierwszy i trzeci. Tak jak wyryte na tablicy. Nic nie mów!

– Nie oddycham – powiedziałem nerwowo.

Dzidek podszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

– Ogrzej się chudzino!

– Zmarłem przez to wszystko – dopowiedziałem lekko dygocząc. – Jak zrobią kontrolę w namiotach to będziemy mieli za swoje? Może już nas szukają.

– Znajdziemy się – odpowiedział rozdrażniony.

– Gadaj, co się w mózgu lasuje.

– Jeden trzy, jeden cztery – mówił jakby zobaczy zległo ducha.

– Jeden – jeden, jeden – dwa – dodałem bez przekonania.

– Zadźwięczało jeden i trzy. Walimy według szyfru!

– Wkurzają mnie ci starożytni.

– Średniowieczni.

– Diabeł z nimi tańcował, jak mówi moja babcia. – Liczenie jak w podstawówce – powiedział poirytowany. I dodał – Nic nie mów, bo się znów pokłócimy.

Zbliżyłem się do tablicy i pukałem w świeki według wyrytej instrukcji. Za każdym razem odpowiadał przygłuszony, oddalony dźwięk. Za ostatnim uderzeniem i za ostatnim dźwiękiem, kamienna tablica zadrgała. Zaczęła się obracać. Zatrzymała się. Zgrzytnął metal. Ruszyła. Gdy obróciła się całkowicie stanęła. Podeszliśmy. Na tylnej ścianie tablicy wyryte było: „Koniec świata” i pod spodem: o północy 15 lipca i rok...

– To nasz rok, teraz, kiedy żyjemy! – powiedział z przestachem Dzidek. – Jutro koniec świata – wyszeptał zamartwymi ustami.

– No co ty! – powiedziałem niepewnie. – Popatrzmy dokładniej.

W tym momencie tablica zaczęła wracać do poprzedniej pozycji. Nie zdążyliśmy przyjrzeć się dacie. Podbiegłem do tablicy i uderzałem nerwowo w ćwieki. Jeden trzy, jeden cztery i tak w kółko aż do całkowitego zmęczenia. Zadanego oddźwięku. Tablica już nie drgnęła.

Zrozpaczeni wracaliśmy do obozu. – Myślisz, że to jutro? – zapytał niepewnie Dzidek. – Co? – zapytałem zamyślony. – Koniec świata – powiedział cicho, rozglądając się dokoła. – Bzdura – odrzekłem niepewnie.

Następnego ranka z trudem zwlekłem się z łóżka. Cały dzień chodziłem zaspany. Ale też rozglądałem się niepewnie dokoła. Nawet druh zapytał czy nie jestem chory. Powiedziałem dla zmyłki, że trochę boli mnie głowa. Musiałem łyknąć dwie aspiryny.

Dzidek zajęty był w swojej drużynie. Zagadnąłem go przy obiedzie. Sugerowałem, że należy powiadomić druhów i cały obóz, że o północy będzie koniec świata. Kumpel odpowiedział, że się tylko ośmieszmy. Harcerze nie wierzą w takie rzeczy jak koniec świata.

– Nikomu nic nie gadaj i najlepiej zapomnij, co widzieliśmy wczoraj – poradził. – Co ma być to będzie.

Nie przekonał mnie. Ale i też nie poszedłem z tym do drużynowego. Bałem się, że znów mnie ukarze za samowolne opuszczanie obozu. Leżałem na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Oczekiwałem na koniec świata. Wpatrywałem się niespokojnie w zło wróżebne cienie poruszające się na płótnie namiotu. Nie wiem, dlaczego chciałem dotrzeć do północy. Zobaczyć, co się stanie. Oczy same zamykały się. Byłem śpiący po wczorajszej nocnej wyprawie.

Spojrzałem na zegarek. Było pięć minut do północy. Zacząłem się lekko trząść ze strachu. Powieki wolno zastoniły mi cienie, kołysanych wiatrem, gałęzi. Widziałem teraz krwawy obraz gołych ciał spadających w czerwoną czeluść. Zobaczyłem siebie, chwytającego rozpaczliwie łapiących się rąk, spadających ze mną ludzi.

Zasnąłem.